

Między  
refleksją  
a płochą  
igraszką



I nagroda — „Jest w piekle miejsce zwane...”

II nagroda — „To się złożyć nie może” Różewicza. Aktorzy z Torunia: Barbara Baryżewska i Zygmunt Sierakowski.

W trakcie dyskusji w szczecińskim „Klubie 13 muz” — jak nazwa wskazuje — jest to stałe miejsce spotkań wszystkich istniejących patronek sztuk (Klilo, Melpomeny, Terpsychory i ich towarzyszek, w sumie 9 znanych i nazwanych) ze znacznym — jak widać — marginesem dla nie nazwanych (np. filmu) czy jeszcze nieznanymi zgłola; odbywają się tam m. in. publiczne spotkania z podopiecznymi tych muz (aktorami, pisarzami, malarzami) oraz przedstawienia teatrów małych form; otóż w czasie dyskusji nad tym właśnie teatrem jeden z uczestników (nauczyciel — polonista) powiedział: „Co roku oczekuję z podnieceniem i ciekawością kolejnego przeglądu”. Wprawdzie nie jest to stwierdzenie odkrywcze, ale za to przyjemne; świadczy — co potwierdza frekwencja — o zainteresowaniu publiczności szczecińskiej. Nie jest to zjawisko odosobnione. Bądź co bądź atrakcja. Nawet w stolicy, gdzie nie można się uskarżać na brak teatrów i atrakcyjnych aktorów, Warszawskie Spotkania Teatralne (w których — jak wiadomo — biorą udział sceny pozastoleczne) wywołują zawsze zainteresowanie teatrem. Taka jest już natura festiwalu. Nawet jeśli to jest mini-festiwal mini-teatru i odbywa się na krańcach Rzeczypospolitej, i to w Wielkim Tygodniu, który skłania raczej ku postom niż biesiadom i sprzyja refleksji, nie zaś płochym igraszkom.

Tegoroczny repertuar szóstego Ogólnopolskiego Przeglądu Teatrów Małych Form usiłował godzić obie postawy. To znaczy post z płochą igraszką i biesiadą z poważną refleksją. Ale mylił się ten, kto by sądził, że ta koegzystencja przebiegała bezszmerowo. Owo dziwne materii pomieszanie wywołało niejedną burzę, „nocne rodaków rozmowy” przeciągały się do białego świtu i niejedna przy tym pękła butelczyna... Wyznam, że serce rosło, gdy się obserwowało owe nawałnice namienności z powodu teatru. To się jednak nieczęsto zdarza.

Owe namienności wybuchły w związku z dwoma programami. (Nie stosuję określenia „dramat” czy sztuka”, bo wdzięk teatru małych form polega na tym, że ich twórcy nie realizują sztuk z tradycyjnego repertuaru dramatycznego. Sami wymyślają scenariusze, konstruując na nich swoje spektakle. Składają się na nie fragmenty prozy, pamiętników, listów, przepłatane są wierszem, ilustrowane często publicystyką. Posługując się terminologią malarzką, można by je nazwać dramaturgicznymi kolażami, czy sklejkami.)

Jeden z tych programów został przedstawiony przez Ryszarda Filipińskiego i Tadeusza Kwintę, drugi przez Lidie Zankow, Leszka Herdegen i Wojciecha Ziętarskiego. Nazwiska większości wykonawców znane, głośne, budzące zaufanie i przekonanie do ich sztuki. Filipiński przedstawił „Rzecz o Polakach i Niemcach od Grunwaldu po dzień dzisiejszy”, w której posłużył się fragmentami „Kroniki” Długosza oraz przekazanymi na temat soboru w Konstancji, gdzie znakomitemu uczonemu Pawłowi Włodkowicowi, reprezentującemu polską rację stanu i humanistyczną postawę, udało się zlikwidować politycznie problem krzyżactwa i jego herolda Jana Falkenberga. Kwinta nieporównanie bardziej hałaśliwie, ale za to demagogicznie, przedstawił „Ciuchy historii”, oparte o dowolnie zmontowane fragmenty głośnej książki Zbigniewa Żaluskiego „Siedem polskich grzechów głównych”. Z drugiej strony Zankow, Herdegen i Ziętarski przepletli fragmenty „Piekieł” Daniego wspomnieniami oświęcimskimi, przedstawiając jeszcze jeden obraz czasu nieludzkiego pt. „Jest w piekle miejsce zwane...”. Były to niejako dwa oblicza tej samej sprawy. Ale podczas gdy występ Filipińskiego był namyślnym publicystycznym ostrzeżeniem — „Jest w piekle miejsce zwane...”

tonem czystym, jak poetycki moralitet. Zaden inny program nie wzniosł się już do tych wyšin. „Antygona” według Sofoklesa w wykonaniu warszawskiego Teatru Adekwatnego (Henryk Boukolowski i towarzysze) zabrzmiiała w porównaniu z tamtym minoderyjnie i pretensjonalnie.

Była to strona refleksji. A sąsiadowała z nią igraszka, często płocha, choć nie pozbawiona głębszego znaczenia. Więc aktorzy szczecińscy, którzy wykazali w tym roku niezwykłą inwencję, wyobraźnię, poczucie humoru, a przede wszystkim płodność — przedstawili pod wodzą Ewy Kologórskiej inscenizację tekstu Jerzego Broszkiewicza w postaci quasi-opery z tremolami i wokalizami pełnymi radości życia i humoru, mimo że zaleca ona — zgodnie z „Przepisem ze starej kroniki” — udusić starego męża, aby zrobić miejsce dla miłości młodych. Irena Grzonka brylowała jako młoda żona Mariana Noska, dowcipnie rysującego postać starca. Mnóstwo wdzięku zawiera „Historia o dobrym grzeszniku” van Auego (również w wykonaniu aktorów szczecińskich), bujna, chwilami nawet rozpasana opowieść o kazirodziej miłości, przypominająca malarstwo Breugla i teatr Ghelderode’a. „Rozmowa z własną nogą” Świrszczyńskiej, czyli rozważania dwu idiotek o końcu świata, zabawnie wyreżyserowane przez Krzysztofa Niesiołowskiego, wniosły cienko zarysowany ton surrealistycznej groteski. To drugi kraniec.

Między nimi, między refleksją i igraszką, znalazło się kilka pozycji nijakich. Więc np. program publicystyczny pt. „Nikt za nas nic nie zrobi”, złożony z tekstów Brylla, Hamiltona, KTT i innych. Nazwiska autorów nie gwarantują jednak trafności wyboru, gdy cały program był amorficzny, czyli zaden. Dobrą wolą nie da się zastąpić braku formy i scalającej myśli. „Kwiaty z czarnych lat”, czyli montaż piosenek z lat wojny i okupacji, jest już argumentem zbyt ogrymym, aby mógł zainteresować, zwłaszcza w dość ubogiej formie.

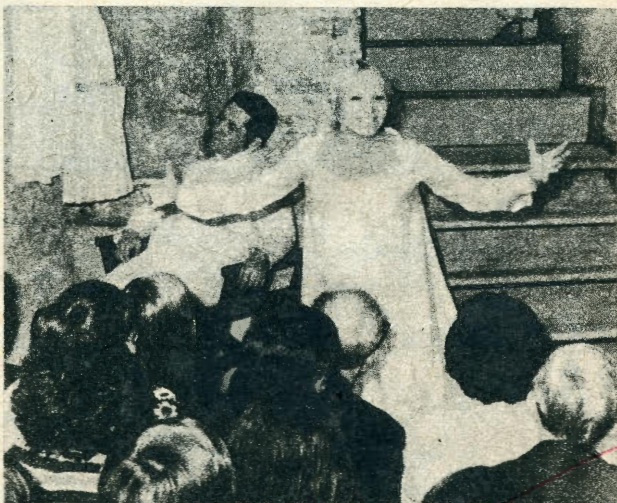
Nieporównanie wyższe ambicje miał Krzysztof Rościszewski, prezentując montaż tekstów Różewicza, w których liryki spłatały się z fragmentami dramaturgicznymi na przekornej zasadzie „To się złożyć nie może”. Jednak się złożyło. Złożyło na całość, przedstawiając innego, zapomnianego Różewicza, w czym zasługa — obok reżysera — również Barbary Baryżewskiej.

Kontrowersje wzbudziły również oceny. Publiczność głosowała za programem „Jest w piekle miejsce zwane...”, stawiając na drugim miejscu program aktorów toruńskich „To się złożyć nie może”. (Program Filipińskiego nie był przedmiotem głosowania; jako monodram nie odpowiadał warunkom przeglądu.) Komisja artystyczna przeglądu zaś, przyznając również pierwsze miejsce programowi dantejsko-oświęcimskiemu, brała pod uwagę na drugim miejscu szczeciński „Przepis ze starej kroniki”. Specjalnie ufundowaną nagrodę aktorską przyznała ona Irenie Grzonce.

Mimo jednak różnicy ocen, polegającej na tym, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, był to festiwal budzący nadzieje i sprawiający satysfakcję. I jakże nie czekać na kolejny przegląd z ciekawością, jak powiedział ów nauczyciel polonista szczeciński?

Zastanawia tylko jedno: kto i kiedy zajmie się wreszcie właściwym wykorzystaniem tej „produkcji” pełnej inwencji, poezji, poczucia odpowiedzialności artystycznej, treści wartych najwyższej uwagi i wielu innych wartości. Wszak jest to wprawdzie teatr kilku aktorów, ale przecież nie teatr kilku dni życia!... Warto go udostępnić szerszej i postać w Polskę.

ANDRZEJ WRÓBLEWSKI



Nagroda za najlepszą kreację aktorską dla Ireny Grzonki ze Szczecina.



Wręczenie statuetki dla zespołu krakowskiego za spektakl „Jest w piekle miejsce zwane...”

Fot. AGNIESZKA WECZER